

Józef Śmiałowski

Ala w kręgu przyjaciół

Przegląd Nauk Historycznych 1/2, 292-299

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ala w kręgu przyjaciół

Poproszony przez prof. Albina Głowackiego o podzielenie się z szerszym gronem refleksjami o zmarłej tak niedawno prof. Alinie Barszczewskiej-Krupie, dla mnie zawsze najpierw Ali, a dopiero w dalszym planie osobie z wszystkimi przysługującymi Jej, za efekty prac naukowych i dydaktycznych osiągnięć, tytułami, nawet nie próbowałem się od tego wymówić. Może powinienem był to zrobić, bowiem brak mi dystansu do Osoby, o której piszę.

Podjąłem to zadanie, zmuszające przy okazji do autorefleksji, nie dlatego, bym był przekonany, że „tylko ja to mogę zrobić”. Wprost przeciwnie. Wiem, jak niewiele wiedziałem o Ali, choć czasami, w okresie prawie pół wieku trwającej naszej, najpierw znajomości (przy czym ja znałem Alę około 2 lata wcześniej niż Ona mnie – o tym dalej), a później przyjaźni serdecznej i głębokiego zaufania, kiedy to zrzadzeniem losu przyszło nam wspólnie pracować w tym samym zespole kierowanym przez prof. Gryzeldę Missalową, a przez ostatnie dziesięciolecie w Instytucie Historii.

Świadomie rezygnuję z prób analizy i ocen bogatego dorobku prof. Aliny Barszczewskiej-Krupy, nawiązując jedynie do tych jego fragmentów, które bądź były nasze wspólne, bądź tych, które zaowocowały zgromadzeniem materiałów z różnych kwerend w byłej Katedrze Historii Polski XIX i XX w., zlikwidowanej w 1969 r. Efektem tego było zmarnowanie w zasadzie, przez fakt zaniechania, będącej na ukończeniu bibliografii zawartości czasopism dotyczącej dziejów przemysłu, rzemiosła i klasy robotniczej.

Rozważając kształt tego, co piszę, utwierdzałem się w przekonaniu, które zrodziło się we mnie od początku naszej znajomości i przyjaźni, że znałem dwie Aliny, dwa wcielenia kobiece. Więc, jak to było? Czy obie mogły być prawdziwe? A może tylko ograniczona męska wyobraźnia nie pozwalała mi dostrzec, że była to niezmiernie bogata wewnętrznie kobieca jedność. Nie przyznając się jednak do tego, myślę, że choć naukowy tytuł miała rodzaju męskiego: „profesor”, to w każdym najdrobniejszym calu była Kobieta – kwintesencją kobiecości, z dominacją wszystkich zalet i walorów, jakie ta większa część ludzkości posiada.

Jest jakaś, osadzona we mgle minionego czasu, granica chronologiczna, w okolicach której zaszła pewna, sędzę, że raczej powierzchowna, metamorfoza Aliny.

Okres pierwszy to czasy studenckie, lata pierwszego małżeństwa, i mimo ogromnych trudności bytowania, radosnego zachłystywania się życiem, radością pierwszego macierzyństwa i wychowywania ukochanej córki Aśki, tragicznie zmarłej wówczas, gdy stawała się już w pełni kobietą bardzo podobną do Matki i już wówczas wdziękiem i klasą bycia zbliżającą się do swego pierwowzoru. W tym okresie mieściły się też początki pracy w Uczelni (Uniwersytet Łódzki), przygotowywanie doktoratu i roczny staż naukowy we Francji, w Paryżu.

Okres drugi to nowy etap życia wyznaczony, trudnym wówczas do zrozumienia dla Przyjaciół, rozpadem pierwszego małżeństwa, na drodze naukowej zrobieniem habilitacji i zawarciem nowego związku małżeńskiego. Zaowocowało to trwałą stabilizacją życiową, a w obszarze osiągnięć naukowych znacznym zwielokrotnieniem dorobku. Owa decyzja rozwiązania małżeństwa z Olkiem, niezrozumiała dla Przyjaciół wówczas, po upływie lat, nabrała logiki. Ala, osobowość odpowiedzialna, zdecydowana i stanowcza w środowisku zawodowym, pragnęła mieć w mężu, w życiu rodzinnym, jak chyba każda kobieta, wsparcie dla siebie, partnera w rozwiązywaniu kłopotów i troskliwego opiekuna dla córki. Tego nie umiał czy nie mógł zapewnić Jej Olek, człowiek w ogóle uroczy. To, czego pragnęła, urzeczywistniło się w Jej drugim małżeństwie z Henrykiem Krupą, i powtórnym, podjętym z dużym ryzykiem macierzyństwem i wychowaniem syna Jarosława.

Zrozumiałe, że cezura zaproponowana nie jest cezurą „jednej daty”, i że te zdarzenia układały się we względnie logiczny i przejrzysty ciąg. Scenariusz kształtowało życie. Być może ktoś inny dostrzeże inną kolejność zdarzeń i następstw. Ale to, co piszę, to moje **subiektywne**, zabarwione emocjonalnie spostrzeżenia i uwagi. Choć w końcu owego pierwszego okresu moje bezpośrednie kontakty z Alą były bardzo częste i bliskie, i choć wówczas dzieliła się ze mną swoimi kłopotami i radościami, to przecież zgodnie z naturą kobiety nie były to spowiedzi. Gdyby nawet założyć, że coś takiego się zdarzyło, to kieruję się zasadą, że spowiednika obowiązuje tajemnica spowiedzi.

Alinę Kubak, bo takie było panięńskie nazwisko prof. Barszczewskiej-Krupy, znałem od 1953 r. Znałem, to nie znaczy, że się znaliśmy, tylko, że ja Ją znałem. Studiowałem o rok czy nawet półtora roku wyżej (zmieniano wówczas program studiów, odchodząc od tzw. trzylatki nauczycielskiej na rzecz pełnych studiów magisterskich pięcioletnich) i w innej uczelni, bo w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Łodzi, Ona zaś w Uniwersytecie Łódzkim

na kierunku historii. Na starszych rocznikach tego kierunku miałem kilku kolegów i znajomych. Instytut Historii mieścił się wówczas na ul. Lindleya, tam gdzie dziś Dziekanat Wydziału Filozoficzno-Historycznego. Kiedy tam czasem zaglądałem do kolegów, trudno było nie dostrzec wśród kłębiącego się tłumu studentów (nie ukrywam, że patrzyłem raczej na studentki) Aliny. Jej postać wybijała się z licznego grona bardzo ładnych dziewczyn, w które ten rocznik obfitował. Jednak to Alina przyciągała uwagę prawie wszystkich. Nie była to wyłącznie zasługa Jej urody, ale i kultury zachowania, jakiegoś własnego stylu ubierania się, smaku, jednym słowem „noszenia się”, co dodatkowo podkreślała gracja poruszania się. Była wygimnastykowana, a nieprzeciętną sprawność fizyczną zachowała chyba aż do czasu, gdy dotknęła Ją groźna w skutku choroba. Dowodziła tego przy różnych okazjach, m. in. na spływach kajakowych, a po raz ostatni jeszcze w 1990 r., kiedy to po nadaniu nam tytułów profesorów zwyczajnych, skomentowałem to słowami: „No cóż, Alu, to dowód, żeśmy się zestarzelili”. Jej reakcja wprawiała mnie w osłupienie. „Nie wolno tego tak interpretować”, po czym zsunęła z nóg pantofle, podciągnęła spódnice i wykonała mostek do tyłu. Nie wierzyłem własnym oczom. Pośpiesznie wycofałem się z tego, co powiedziałem przed chwilą.

Była w Alinie bezpośredniość bycia i reagowania, jakieś ciepło emanujące wokół, a równocześnie zawierające jakiś wyznacznik dystansu. Cechowała Ją też duża wrażliwość plastyczna. Miała za sobą początki rysunku i malarstwa wyniesione z rodzinnego Ostrowca Świętokrzyskiego. To wszystko kształtowało nie tylko jej osobowość intelektualną, ale i *image* zewnętrzny.

Podejmowane w latach studenckich próby wywiadów pt. „Co to za dziewczyna” wskazywały, że nie ma żadnych szans na Jej „poderwanie”. Pozostawała pod „specjalną ochroną”. Sprawował ją niezmiernie skutecznie, znajdując na to entuzjastyczne przyzwolenie samej zainteresowanej, student filologii rosyjskiej Aleksander Barszczewski, aktywista Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej. Olek był wysoki, przystojny i męski. Stanowił obiekt westchnień i awansów zastępu dziewczyn nie tylko z „Uniwerku”. Spotykałem się z nim dość często w Zarządzie Okręgowym ZAMP-u, w obiekcie przy ul. Piotrkowskiej 262/264, gdzie dziś mieści się Ośrodek Badań Europejskich UŁ.

Chyba w 1953 r. zawarli związek małżeński. Panowała powszechna opinia, że byli najprzystojniejszym małżeństwem studenckim w Łodzi. Normalną koleją rzeczy stali się rodzicami Aśki. Studenckie małżeństwo z dzieckiem i to równocześnie z przygotowaniem magis-

teriów, a na dodatek bez mieszkania i żadnego zaplecza rodzinnego w Łodzi.

Olek uzyskał zgodę Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich na czasowe użytkowanie jednego pokoju bez żadnych wygód, przy siedzibie, chyba Rady Uczelnianej przy UŁ, przy ul. Stefana Jaracza 6, na I piętrze. Mieszkali tam ponad dwa lata, nawet jeszcze po ukończeniu studiów, będąc na asystenturach. On w Uniwersytecie Warszawskim, zaś Ala początkowo, jeszcze przed ukończeniem studiów, jako tzw. zastępca asystenta u prof. Henryka Katza w Katedrze Marksizmu-Leninizmu. Później, na krótko, znalazła się na aspiranturze w Instytucie Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym PZPR. Po październiku 1956 r. wróciła na UŁ i została zatrudniona jako młodszy asystent w Katedrze Historii Polski XIX i XX wieku, kierowanej przez prof. Gryzeldę Missalową.

Bezpośrednio zetknęliśmy się z Alą w seminarium prof. Missalowej w 1955 r., na które Ona uczęszczała przygotowując pracę magisterską, a ja już po magisterium przychodziłem jako potencjalny kandydat na asystenta, czasowo zatrudniony w Bibliotece Instytutu Historii. Fakt, że byliśmy, po zrobieniu przez Alę magisterium, najmłodszymi, prawie że rówieśnymi pracownikami, zbliżał nas. Jeśli tak można powiedzieć, przypadliśmy sobie do serca. Sprzyjały temu różne zadania powierzane nam łącznie, wymieniając ważniejsze: współudział i koordynacja prac nad bibliografią zawartości czasopism, dotyczącą dziejów rzemiosła, klasy robotniczej, przemysłu i handlu w okręgu łódzkim i później opracowanie kartoteki uczestników powstania styczniowego z okręgu łódzkiego w oparciu o akta Generał-Policmajstra Warszawskiego (AGAD).

Na serio braliśmy też zachęty naszej Szefowej, prof. Missalowej, do pracy zespołowej, kolektywnej, wymiany informacji i materiałów uzyskanych z indywidualnych kwerend. W jakimś stopniu z tego stylu pracy zrodziły się nasze wspólne, kilkuarkuszowe publikacje o partyzantce płk. Józefa Zaliwskiego w Królestwie Polskim w 1833 r. i kilka drobniejszych rzeczy. Praca o partyzantce Zaliwskiego układała się nam bardzo dobrze, choć towarzyszyły jej niejednokrotnie ostre spory merytoryczne. Ja budowałem konstrukcję wykładu, Ala była lepsza w precyzowaniu myśli i końcowych sformułowań.

W tym czasie mieszkałem już, chyba od początków 1957 r., przy ulicy Mariana Buczka 30, naprzeciw Instytutu Historii. To głównie w tym mieszkaniu, a rzadziej w Katedrze, omawialiśmy i dyskutowaliśmy wspomniane prace, nasze doktoraty, ale także dzieliliśmy się swoimi osobistymi radościami i kłopotami. Z odległej perspektywy czasu i zdarzeń wydaje mi się, że to właśnie tu znajdowała

Ala niejednokrotnie schronienie przed samotnością. Bywały bowiem, i to często, kilkumiesięczne okresy, że, mając męża i córkę, była sama. Olek często był na długich stażach naukowych w Moskwie, Mińsku i jeszcze gdzieś tam, a córka Asia przeważnie u Matki Ali, w Ostrowcu Świętokrzyskim, a czasem u rodziców Olka gdzieś na Podlasiu czy Białostocczyźnie. Kontakty z Olkiem i Asią Alina miała trudne, bo ani Ona sama, ani nikt z naszego kręgu mieszkającego w tym rejonie nie miał telefonu. Brakło Ali wsparcia męża, bo nawet nie będąc poza krajem, z racji zatrudnienia w Uniwersytecie Warszawskim, też wiele przebywał poza Łodzią. Niewiele kłopotał się domem i rodziną, ufając, że Ala robi to sama lepiej.

Granice tego naszego kręgu wyznaczały mieszkania członków naszej grupy. Na ul. Mariana Buczka (dziś Aleksandra Kamińskiego) pod numerem 6 mieszkali Helena i Leszek Władysław Karwaccy. Ona – asystentka na filologii polskiej – on w naszej katedrze. Niezbyt daleko w bloku przy ul. Uniwersyteckiej, naprzeciwko kościoła św. Teresy, mieszkała Basia Krzemińska-Surowiecka. Przy tej samej ulicy, ale gdzieś w połowie drogi do Placu Pokoju otrzymali mieszkanie Alina i Olek Barszczewscy. Trójkąt, w którego środku, przy ulicy Wierzbowej 4, mieszkał Rysio Rosin, senior naszego kręgu, zamykało moje mieszkanie przy ul. Buczka 30, stanowiące trzeci wierzchołek trójkąta. Ten wierzchołek wspierał się na Instytucie Historii. Niektórzy żartowali, że to Instytut Historii wspierał się na tym „Trójkącie Bermudzkim”. Do mojego mieszkania było z Instytutu Historii najbliżej, a drzwi zawsze stały otworem.

Drzwi, stojące otworem, były naturalnym atrybutem wszystkich z nas i dla wszystkich z nas. Jeśli zachodziła tego potrzeba, „zagubienie się”, chandra, zwykle zgubienie kluczy czy inne sytuacje życiowe, których nie da się opisać, można było być pewnym, że znajdzie się schronienie na krócej czy dłużej u kogoś z naszego kręgu.

Myszę, że było to pochodną naszej samotności, bo w gruncie rzeczy jedynie Karwaccy stanowili na co dzień „komórkę społeczną”. Samotna była Basia Krzemińska-Surowiecka, samotna w rozumieniu takim jak, wspomniałem wcześniej, Ala Barszczewska, samotnie gospodarzył Rysio Rosin, bo żona-lekarz mieszkała i praktykowała w rodzinnym Żywcu, mając przy sobie synka Andrzeja. Samotny w formie „najczystszej” byłem ja.

Tę samotność pogłębiał fakt, że nikt z nas, poza Basią Krzemińską-Surowiecką, która zresztą dość szybko ubyla z naszego kręgu, wyjeżdżając ze swym nowym mężem do Pragi, nie miał w Łodzi bliższej rodziny. To budowało naszą solidarność i zaufanie. Barszczewscy współtworzyli ten nasz krąg i obszar jego funkcjonowania,

nie pamiętam już przez kogo (być może, że nawet był to ktoś z zewnątrz, z „niestowarzyszonych” bywających u mnie) i na jakim etapie świadomości, nazwany „Trójkątem Bermudzkim”. Olek ze swą osobowością z jednej strony praktyczno-chłopską, a z drugiej poetycko-„jesieninowską” (sam też tworzył i publikował) bez reszty akceptował i wzbogacał życie kręgu, kiedy bywał w Łodzi. Ala, podobnie z pewną nutą – odcieniem autokontroli – czasem odrobiny dystansu ustępującego przed żywiołem.

Gdybym miał określić *spécialité de la maison* każdego z członów owego trójkąta w bardzo lapidarnym skrócie, wyglądało to następująco: u Karwackich kawa, herbata, wódka – w ilości zależnej od okoliczności i nastroju, i telewizor bez ograniczeń, jeśli tylko coś ciekawego „leciało”. Gospodarzy wcale przy tym nie musiało być. Trzeba przy tym przypomnieć, że były to początki telewizji publicznej. Często garnitur gości bywających u nich bywał szerszy od naszego kręgu. Zdarzali się dobrze rokujący (i później spełnieni) poeci, posiadający już pewne doświadczenie reżyser i inne przyszłe indywidualności świata kulturalnego. Dyskusje toczyły się o literaturze, teatrze, a towarzyszyła im, bo jakże by inaczej, wymiana najświeższych plotek z różnych sfer. Jednym słowem był to nasz *toutes proportions gardées* – salon kulturalny.

U słomianego wdowca, Rysia Rosina, „prosta kuchnia”, sporo wódki, niewyczerpane zapasy „Żywca”, dostawianego wprost z browaru żywieckiego, gdzie dyrektorował szwagier Rysia. Młodszym należy się wyjaśnienie, że w owych latach „Żywiec” był towarem wyłącznie eksportowym i wyjątkowo jego śladowe ilości pojawiały się na półkach sklepowych, znikając natychmiast jak meteor. Spotkania u Rysia były zawsze wieczorami najnowszych dowcipów i kawałów, głównie politycznych, w wykonaniu gospodarza.

U Ali, nieco później niż u Karwackich, też telewizor, który Olek przywiózł ze swoich wypraw do ZSRR, w nieograniczonych ilościach ormiańskie i gruzińskie koniaki i polska wódka, nieocenzone wiadomości z Kraju Rad i, co oczywiste, dyskusje polityczne.

W moim kawalerskim mieszkaniu były prawie zawsze: cudowny wiejski chleb przywożony od mojej Matki, różne wędliny, znakomite, choć z potajemnego uboju, przywożone przez podpisanego z różnych wsi całego ówczesnego województwa łódzkiego, gdzie docierałem jako prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Na popicie tego wszystkiego to, co sobie kto (w granicach przysługujących posiadanym statusem i możliwościami) życzył, i na koniec coś, co da się określić tylko jednym słowem – żywioł.

Ten żywioł towarzyszył nam też na spływach kajakowych, z nieodłącznymi ogniskami wygasającymi, gdy pojawiały się poranne zorze. W tym nastroju znakomicie znajdowała się Alina, od niechcenia niejako stymulująca kierunek gawęd, śpiewów czy improwizacji. Repertuar bywał bardzo bogaty i różnorodny: szlagiery dawne i nowe, polskie i rosyjskie, pieśni zetempowskie, stare rewolucyjne i powstańcze, z wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. (m. in. „Szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń”), partyzanckie z czasów okupacji hitlerowskiej (Karwacki był żołnierzem AK), ale i pieśni Armii Czerwonej, różne inne rosyjskie, no i bardzo modne wówczas z Kabaretu Starszych Panów.

Nie przypominam sobie, by niepoprawność polityczna wielu z nich, podobnie jak większości dowcipów, opowiadanych głównie u Rysia Rosina, czy plotek i dyskusji, jakie towarzyszyły spotkaniom w domu Barszczewskich, stała się powodem jakichś przykrości kogokolwiek.

Ala miała poglądy lewicowe, podobnie jak cały nasz krąg. Trudno mi powiedzieć, czy wyniesione z domu rodzinnego, czy ukształtowane później. Nie potrafię nawet powiedzieć, z jakiego środowiska się wywodziła, bo nigdy ta sprawa nie była przedmiotem naszych rozmów. Ala spośród nas najpełniej chyba realizowała postulat pierwszego rektora UŁ prof. Kotarbińskiego, postawiony w 1946 r. grupie aktywu Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie”: „Musisz być prawy, jeśli chcesz być lewy”. Kiedy on to mówił, Alina kończyła dopiero szkołę podstawową, i nie wiem, czy o owym zdarzeniu nawet później wiedziała.

Życzliwa i ustepliwa, kiedy przemawiała za tym jakieś uczciwe racje, potrafiła być nieustepliwa i stanowcza, jeśli dostrzegła, że ktoś chce Ją okpić, wyprowadzić w pole. Głośny był Jej stanowczy protest w Wydawnictwie Łódzkim, które podpisało umowę na temat, jaki Ona realizowała jako rozprawę doktorską, z inną osobą, znającą zagadnienie i tezy, ponieważ uczestniczyła w seminarium, na którym Alina to wszystko prezentowała. Niefortunny sprawca tego zamieszania musiał się z umowy wycofać i zwrócić Wydawnictwu pobraną wcześniej sporą zaliczkę. Skwitował ten fakt ironiczno-gorzki stwierdzeniem: „Alina to najdroższa kobieta w moim życiu”.

Zdecydowanie sprzeciwiała się różnym protekcjom, a szczególnie z tak zwanego „szczebla”.

W latach gdzieś 1970–1980 prowadziła wykłady i egzaminowała na kierunku socjologii. Egzaminu nie złożyła u Niej córka któregoś z sekretarzy (pomijam nazwisko, bo to mało ważne) Komitetu Łódzkiego PZPR. Była oczywiście uprzedzana, że to zaliczenie powinna

dać. Później zaczęły się różne delikatne naciski, by jednak „w drodze wyjątku” itd. Dziekanowi przedstawiono jakieś „niepoddważalne” zaświadczenie lekarskie, no i Alina musiała się zgodzić na przeprowadzenie dodatkowego egzaminu. Kiedy doszło do spotkania i Alina postawiła delikwentce jakieś pytanie, ta drwiąco powiedziała: „Przecież pani wie, że ja nie przyszedłam odpowiadać – zdawać, tylko po to, by mi pani wpisała ocenę”. Alina – jak mi później sama relacjonowała – z wściekłości zaniemówiła, wzięła indeks, wpisała ocenę niedostateczną i bez słowa oddała właścicielce. Trzeba sobie uprzytomnić, co to znaczyło narazić się towarzyszowi sekretarzowi, kiedy każdy awans był opiniowany przez Referat (Wydział) Nauki KŁ.

Był w życiu Aliny nurt znany nielicznym. Stanowiła go amatorska twórczość plastyczna: malarstwo, wyroby ceramiczne (dekoracja) i trochę projektowanie, na użytek własny i przyjaciółek, odzieży. Uciekała w ten nurt, głównie we wspomnianych przeze mnie wcześniej „okresach samotności”. Tym, co stworzyła, obdarowywała przyjaciół. W tworzeniu i obdarowywaniu znajdowała przyjemność, podobnie jak w rozwiązywaniu nowych tematów badawczych. Ale to już, jak powiedziałem na początku, inna opowieść, z inną materia.

Duchu Ali, jeśli gdzieś tam egzystujesz w nierealnym bycie, będziesz, mam taką nadzieję, wyrozumiały dla tej konwencji, optymistycznej w ostatecznym rachunku, w jakiej napisałem to wspomnienie. Bo czyż Ala, mimo ciężkich i bolesnych doświadczeń, nie oszczędzonych Jej przez życie, nie była optymistyczna i radosna?!

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI
Uniwersytet Łódzki